



**RICHARD MASON**  
**ŚWIAT SUZIE WONG**

# ROZDZIAŁ 1

Przeszła przez kołowrotek i wmieszała się w oczekujący na prom tłum, w którym nie brakowało kobiet w bawełnianych, przypominających piżamy garniturkach, a także połyskujących złotymi zębami mężczyzn w filcowych łapciach. Włosy miała związane w koński ogon i była w dżinsach — zielonych dżinsach do kolan.

Dziwne, pomyślałem. Chinka w dżinsach. Czym to wyjaśnić?

Podawała monetę siedzącemu w kucki przekupniowi w obszarpanym pilśniowym kapeluszu. Przekupień zwinął kawałek jakiejś chińskiej gazety w stożkową tutkę, nasypał do niej małą szufelką pestek melona i wymienił na dziesięciocentówkę dziewczyny. Odwróciła się i machinalnie wybierając pestki palcami o paznokciach polakierowanych na czerwono, ruszyła w moją stronę. Zatrzymała się niespełna krok ode mnie.

Pewnie córka jakiegoś bogatego *tajpana*, pomyślałem. Albo studentka. Niewykluczone też, że ekspedientka — Chinkę nie sposób rozszyfrować.

Odgryzła krawędź pestki, wyłuskała ze środka ziarno i włożyła je sobie do ust. Obok niej, wsparty na ebonitowej lasce, stał starzec w chińskim chałacie ze stójką i gładził w zadumie długą na stopę wstążkę siwej, rzadkiej brody. Maluch w nosidelku, wyglądając ponad ramieniem dźwigającej go na

plecach matki, z bezgraniczną dziecinną ufnością mrugał czarnymi ślepkami. Młodzieniec w okularach w rogowej oprawie i wytartej, rozchełstanej pod szyją koszuli trzymał przed samym nosem książkę. Studiował jakiś wykres. „Aerodynamika” — przeczytałem na okładce.

Dziewczyna zmiażdżyła między białymi, równymi zębami kolejne ziarno i w tym momencie przechwyciła moje spojrzenie. Wydało mi się, że trochę dłużej niż to przyjęte, zatrzymała na mnie wzrok, więc zagadnąłem:

— Też bym tak chciał.

— Hm?

— Rozgrzać pestki melona, nigdy nie potrafiłem się tego nauczyć.

— Żadnego rozmawiania.

Odwróciła ostentacyjnie głowę i spojrzała ponad barierką, za którą klębili się podróżujący za dziesięć centów pasażerowie dolnego pokładu: kulisi w niebieskich wystrzępionych portkach i porwanych koszulach, kantońscy rybacy w stożkowych słomianych kapeluszach i błyszczących różowych wdziankach. Żuła zapamiętała.

Usiłowałem przejść do porządku dziennego nad przykrym poczuciem odtrącenia. Zawsze byłem beznadziejny w zawieraniu znajomości z kobietami. Brak mi odwagi.

Naraz dziewczyna jakby... tak, miękła. Rzuciła mi spod oka ukradkowe spojrzenie. Zastanawiała się pewnie, czy aby właściwie mnie oceniła.

Szybko odwróciła wzrok. Zerknęła ponownie, a potem zapytała ostrożnie:

— Jesteś marynarzem?

— Ja marynarzem? Skądże znowu!

Odprężyła się troszkę.

— Na pewno?

— O, z całą pewnością.

— No to możemy porozmawiać, jeśli chcesz.

— Wspaniale. — Roześmiałem się. — Co masz przeciwko

marynarzom?

— Nie ja, mój ojciec.

— Twój ojciec nie lubi marynarzy?

— Nie lubi. On mówi, że marynarze podrywają za dużo dziewcząt, wszczynają awantury.

— I dlatego zabronił ci z nimi rozmawiać?

— Tak. On mówi: „Jak będziesz rozmawiała z marynarzami, zbiję cię!”.

— To chyba bardzo mądry człowiek.

— O, tak, mądry.

Do nabrzeża przybił prom i tłum zafalował. Weszliśmy razem po trapie i zajęliśmy jedną z ławeczek na zadaszonym górnym pokładzie. Właścicielami promów byli Chińczycy, z Chińczyków składały się również ich załogi, bardzo sprawne załogi. Ledwie zdążyliśmy usiąść, za rufą zakotłowała się woda, ryknęły motory i statek, dygocząc konwulsyjnie, odbił od nabrzeża Kowloon. Płynęliśmy, mijając stojące na kotwicy statki handlowe oraz wielkie skupiska dżonek. Przed nami, na wyspie po drugiej stronie kanału, leżał Hongkong, ściśnięty na szerokim na jakieś kilkaset jardów i długim na wiele mil pasie wybrzeża oblepionego sampanami i dżonkami. Pośrodku i po obu krańcach tego pasa wyrastały miniaturowe drapacze chmur. Za nimi wypiętrzała się stroma skarpa Peaku, strząsającego z siebie stopniowo miasto i niższe warstwy społeczne i w swych górnych partiach ledwie pocętkowanego rozszanymi z rzadka białymi bungalowami i luksusowymi rezydencjami elity.

O płynęliśmy cypel półwyspu Kowloon i idąc przez kanał ukośnym kursem, skierowaliśmy się na Wanchai, najgęściej zaludnioną dzielnicę wschodniej flanki Hongkongu. Spojrzałem na siedzącą obok dziewczynę. Twarz miała okrągłą i gładką, oczy w kształcie wydłużonych czarnych elips, a łuki brwi tak idealne, że wyglądały jak narysowane — choć w rzeczywistości tylko na końcach przedłużono je nieco ołówkiem. Szerokie kości policzkowe sugerowały domieszkę krwi mongolskiej.

— Nie pochodzisz czasem z północy?

— Tak, z Szanghaju.

— Ale teraz mieszkasz w Hongkongu?

— W North Point.

— To dobra dzielnica. — Wyjaśniała się więc jej obecność na tym promie, North Point leżało bowiem za Wanchai i było ekskluzywnym, oddalonym od slumsów przedmieściem, a na nabrzeżu Wanchai znajdowała się najbliższa przystań promowa.

— Dobra, ale mnie się bardziej podoba Repulse Bay. Dom tam ładniejszy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że masz dwa domy?

— Cztery.

— Cztery?! — Wiedziałem, że chińscy *tajpani*, przy których najbogatsi Europejczycy wyglądają na nędzarzy, posiadają często po dwa, a nawet trzy domy, ale aż cztery stanowiły absolutny rekord. — I wszystkie w Hongkongu?

— Tak, w Hongkongu. Mój ojciec jest bardzo bogaty — dodała z dumą chwalebęcego się naiwnego dziecka.

— Na to wygląda. A gdzie stoją pozostałe dwa domy?

Odliczywszy na palcach dwa pierwsze, ciągnęła:

— Trzeci przy Conduit Road, czwarty na Peaku. Piąty...

— Jest jeszcze piąty!

— Tak, zapomniałam o nim. Piąty w Happy Valley. Ale ten jest mały... tylko dziesięć pokoiów.

— Rzeczywiście niewielki. — Roześmiałam się. — A samochody? Ile twój ojciec ich ma? — Chińczycy kolekcjonują samochody z jeszcze większą pasją niż domy.

— Samochodów? Niech pomyślę. — Ściągnęła brwi, liczyła przez chwilę na palcach, a potem zachichotała. — Och, nie pamiętam, ile tych samochodów.

— Ty też pewnie masz swój?

— Nie, boję się prowadzić. Ale od czego są tramwaje. Lubię jeździć tramwajami. — Podsunęła mi gazetową tutkę z kupionymi za dziesięć centów pestkami melona. — Chcesz?

— Chętnie, ale naprawdę nie potrafię ich wyłuskiwać. Będziesz musiała mnie nauczyć.

— Najpierw sam spróbuj.

Spróbowałem kilka razy, ale otoczki rozłupywały mi się między zębami i wraz z nimi miażdżyłem znajdujące się w środku ziarna. Dziewczyna chichotała z początku, ubawiona moją nieporadnością; zakrywała sobie przy tym twarz dłońmi, a jej koński ogon podrygiwał i majał się komicznie. Potem opanowała się trochę i wciąż rozbawiona, zademonstrowała mi, jak należy to robić — odgryzła zębami brzeg pestki, ściągnęła otoczkę i podała mi nienaruszone ziarno.

— Przecież dokładnie tak robiłem — powiedziałem. — Twoja pestka musiała być łatwiejsza do rozgryzienia.

— Nie, wszystkie takie same.

— To ja się poddaję. Jak masz na imię?

— Wong Mee-ling.

— Mee-ling... uroczo.

— A ty?

— Robert Lomax... albo Lomax Robert, jeśli wolisz.

— Lobert.

— Nie. Na początku „R”.

— Robert. Gdzie mieszkasz?

— No, aktualnie...

— Na Peaku?

— Eee... tak, w połowie zbocza. W pensjonacie Sunset Lodge. — Nie była to do końca prawda. Przed kilkoma dniami przeprowadziłem się z pensjonatu Sunset Lodge do Wanchai. Nie mogłem jej jednak powiedzieć o hotelu Nam Kok, przynajmniej do czasu, kiedy lepiej ją poznam.

— Pracujesz dla rządu? W banku?

— Ani jedno, ani drugie. Byłem plantatorem drzew kauczukowych, ale rzuciłem to kilka miesięcy temu, żeby zająć się malowaniem.

— Malowaniem?

— Obrazów. — Chciałem jej pokazać swój szkicownik, ale zaraz przypomniałem sobie, że wszystkie szkice zostawiłem w Nam Kok.

— Rozumiem... artysta.

— Ja jeszcze tak o sobie nie myślę — przyznałem skromnie, a ponieważ tak nam się dobrze rozmawiało, odważyłem się zapytać, czy nie wybrałaby się ze mną któregoś wieczoru na kolację. Odmówiła.

— To może na lunch? — podsunąłem.

— Nie. — Pokręciła stanowczo głową, zamiatając przy tym końskim ogonem.

— Bardzo chciałbym się z tobą znowu spotkać, Mee-ling. Może się umówimy?

— Nie.

— Ale dlaczego?

— Wkrótce wychodzę za mąż. — Wyjaśniła, że narzeczonego wybrali jej, zgodnie z chińskim zwyczajem, rodzice, i że nie poznała jeszcze swojego przyszłego męża, ale widziała go na fotografiach i wie, że jest bardzo przystojny. Ma dużo pieniędzy. Zresztą nie umówiłaby się ze mną, nawet gdyby nie wychodziła za mąż, bo chińskie dziewczęta nie cieszą się taką swobodą jak angielskie. Wiedziała, że Angielki mogą chodzić z chłopcami — mogą nawet pozwalać swoim chłopcom na odgrywanie roli męża — nie pozbawiając się przez to szansy na zamążpójście. Słyszała nawet o takiej angielskiej dziewczynie z górnych partii Peaku, która w ciągu czterech lat miała kolejno czterech chłopców, a potem wzięła w hongkońskiej katedrze ślub z wysokiej rangi urzędnikiem państwowym. Dla chińskiej dziewczyny takie prowadzenie się jest nie do pomyślenia — czystość to niezbywalny warunek zamążpójścia — i krewni pana młodego są tradycyjnie upoważnieni do szukania w dniu ślubu dowodu. Jeśli stwierdzą, że dziewczyna jest naruszona, kontrakt zostaje anulowany; takiej dziewczynie pozostaje tylko ulica.

— Rozumiesz więc, że nigdy nie miałam chłopca — oświadczyła poważnie Mee-ling. — Nigdy się jeszcze nie kochałam.

— Nie? — bąknąłem, stropiony taką szczerością.

— Nie, ani razu.

— Cóż, masz jeszcze mnóstwo czasu. — Zastanawiało mnie, czy tego typu wynurzenia przy pierwszym spotkaniu są dla Chinek czymś zwyczajnym.

Popatrzyła na mnie niewinnie.

— Jak nazywacie takie dziewczyny po angielsku?

— Jakże konkretnie?

— No, takie, które się jeszcze nie kochały... z nikim?

— Mówimy, że są dziewicami — odparłem.

— „Dziewicami?” Tylko tyle?

— Tak.

— Tak, dziewica to ja.

Powiedziała to, pokazując na siebie palcem o czerwonym paznokciu. Wybuchnąłem śmiechem.

— Świetna jesteś, Mee-ling! Skoro wyjaśniliśmy już sobie tę kwestię, to może jednak umówisz się ze mną na kolację? Obiecuję, że nie będę próbował zszargać ci reputacji.

Znowu stanowczo pokręciła głową.

— Nie.

— Bardzo chciałbym cię namalować.

— Nie. Za chwilę się pożegnamy.

Pokład zadygotał pod wpływem wchodzących na wsteczne obroty motorów. Prom zwolnił i dobił do nabrzeża Wanchai. Opuszczono ze szczękiem trap i wmieszani w ciżbę pasażerów zeszlśmy z Mee-ling na ląd. Zatrzymaliśmy się przy grupie riksarzy siedzących beczynnie między opartymi o ziemię dyszlami riks. Do hotelu Nam Kok było stąd zaledwie sto kroków i widziałem niebieski neon nad wejściem oraz narożny balkon na ostatnim piętrze, a na nim moje sztalugi z zamocowanym na nich białym blejtramem. Tego ranka zacząłem malować portret Gwenny.

Mee-ling pobiegła wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Co to za budynek?

— Który...? — mruknąłem wymijająco i czym prędzej ściągnąłem jej uwagę z powrotem na siebie, pytając: — W



którą idziesz stronę?

— Do Hennessy Road.

— Do tramwaju?

— Nie, przy Hennessy Road czeka na mnie samochód.

— Mogę cię odprowadzić do samochodu?

— Nie, szofer mógłby powiedzieć mojemu ojcu.

— I ojciec jeszcze by cię zbił?

— Tak... możliwe.

— Nie zmienisz zdania, nie umówisz się ze mną na kolację?

— Nie. Muszę już iść.

Podawała mi na pożegnanie rękę, a kiedy uściśnąłem jej dłoń, zachichotała nerwowo, jakby z zażenowaniem. Potem odwróciła się i pobiegła w kierunku bocznej uliczki prowadzącej do Hennessy Road. U jej wylotu obejrzała się jeszcze, zamiatając końskim ogonem, i pomachała ręką. Potem zniknęła mi z oczu między straganami z żywnością, rikszami i tłumami przechodniów.

Odeszła, pomyślałem, odeszła. *Partir c'est mourir un peu...* Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku hotelu Nam Kok; znalazłszy się na swoim balkonie, położyłem na rozpoczętym portrecie Gwenny papier rysunkowy, na zagraconym stoliku znalazłem kawałek węgla i szybko, póki miałem ją jeszcze świeżo w pamięci, naszkicowałem Mee-ling. Narysowałem ją z tym przekorno-niewinnym spojrzeniem, z tutką pestek melona w jednym ręku, pokazującą na siebie palcem drugiej; a pod spodem napisałem: „Tak, dziewczica to ja”.

Szkic nie był zbyt udany, ale wprawiał mnie w dobry nastrój i go zachowałem. Patrząc teraz na niego. Jest poplamiony i swego czasu został podarty — przez samą Mee-ling, której się nie spodobał — a potem pozlepiany skoczem. Jednak wciąż wywołuje u mnie ciepłe wspomnienia; był to pierwszy jej portret, jaki naszkicowałem. Ileż to razy rysowałem ją i malowałem od tamtego czasu. Nie zliczę. Ale prawdopodobnie więcej, niż jest pestek w tej tutce — i więcej niż jest włosów w tym końskim ogonie.

## ROZDZIAŁ 2

Zacząłem rysować pod wpływem George'a Wheelera.

Wheeler, zarządca plantacji kauczuku Bukit Merah Rubber Estate na Malajach, mieszkał samotnie w ogromnym, ponurym bungalowie zanurzonej w oceanie drzew kauczukowych. Był to człowiek nieszczęśliwy i sfrustrowany. W dniu, w którym przybyłem tam z Anglii, by podjąć pracę jego asystenta, zwrócił się do mnie w te słowa:

— Przekonasz się z czasem, że w zasadzie jestem dość pobłażliwym szefem. Jednego nie będę w tej posiadłości tolerował. A mianowicie mieszania się ras.

— Mieszania się ras? — zapytałem stropiony.

— Zadawania się z tubylkami.

Rozejrzałem się po mrocznej klatce z moskitiery, która była jego salonem — półki zapchane książkami o wspinaczkę wysokogórską, ściany oblepione wyrwanymi z czasopism zdjęciami dokumentującymi wyczyny wspinaczy. Najwyraźniej Wheeler znajdował ujście dla emocji w marzeniach o zdobywaniu oblodzonych szczytów. Ciekaw byłem, jak na ten zakaz reagują inni.

Wkrótce się dowiedziałem: wpływał na asystentów w rozmaity sposób. Mojego poprzednika, Polaka, popchnął do listownego oświadczenia się znajomej z Glasgow, z którą korespondował, ale nigdy się osobiście nie spotkał; dziewczyna

przyjechała, pobrali się, mieszkali teraz w Kuantan, nadal świata za sobą nie widzieli i oczekiwali trzeciego już dziecka. Mniej szczęśliwie skończył Ted Willis, jeden z moich kolegów, asystentów: będąc już introwertykiem, jeszcze bardziej zamknął się w sobie i w wieku lat dwudziestu czterech stał się prawdziwym odludkiem, a niewykluczone, że i kaleką emocjonalnym na całe życie. Jeśli chodzi o poczciwego Tubby'ego Penfolda, mojego drugiego kolegę, to ten rozbudował repertuar sprośnych historyjek i ubarwiał je coraz większą liczbą pikantnych szczegółów, choć czasami dawał upust swoim tłumionym chuciom w bardziej ekstrawagancki sposób: na przykład wpadł kiedyś do mnie z szerokim, tryumfalnym uśmiechem i opisał przygodę z jakąś przypadkowo poznaną Tamilką. „Czarna jak twój kapelusz, wyobraź sobie, i z tymi diabelnie wielkimi wisiorami w nosie — ale napalona, że hej... Boże jedyny, nie ma to jak dobre dymano!”.

Wiedziałem, że fantazjuje, ale udawałem, że mu wierzę, co uszczęśliwiło go tak, jakby wszystko, co plóttł, rzeczywiście się wydarzyło.

Wpływ zakazu odczułem po raz pierwszy na własnej skórze jakiś miesiąc po przyjeździe, kiedy to zakochałem się w Malajce.

Nie była zatrudniona w posiadłości, ale przechodziła obok mojego bungalowu po kilka razy na dzień, i to zawsze w porze posiłków, gdy siedziałem na werandzie. Czy był to jedynie zbieg okoliczności? Podejrzywałem, że nie, bo oczy jej się śmiały i zaczynała zalotnie kołysać biodrami, ilekroć poczuła na sobie mój wzrok. Skórę miała jak ciepły miód. Dostałem obsesji na jej punkcie, całymi dniami wyczekiwałem z utęsknieniem, kiedy się znowu pojawi, i zachodziłem w głowę, jak by tu ją posiąść bez wiedzy Wheelera. Kilkanaście razy mało brakowało, a byłbym do niej podbiegł; górę brała jednak zawsze obawa przed utratą posady. W końcu przestała przychodzić. Choć nie zamieniłem z nią nawet jednego słowa, moja rozpacz nie miała granic.

Dni zaczęły mi się niemiłosiernie dłużyć, wieczory zdawały się ciągnąć w nieskończoność i nie było ich czym wypełnić. Pozostawało tylko wysłuchiwanie pieprznych opowieści Tubby'ego Penfolda. Och, ta bezdenne pustka po wczesnym w tropikach zachodzie słońca! Zacząłem więcej pić, odkryłem bowiem, że w stanie alkoholowego otępienia czas szybciej upływa. Pewnego dnia zapaliło mi się w głowie światełko ostrzegawcze. W tym tempie, pomyślałem pewnego wieczoru, rozsypiesz się w ciągu roku. Musisz się czymś zająć, chłopie — znaleźć sobie hobby. Wziąłem stary zeszyt, długopis i zacząłem rysować.

Wcześniej rysowałem i malowałem tylko w szkole, a i wówczas jedynie z musu, podczas cotygodniowych zajęć z plastyki, i bez zaangażowania. Wszelkiej maści „artystów” uważałem za wyobcowany, szczególnie i żałosny ludek. W dni wolne od nauki, w ramach wypełniania kulturalnego obowiązku, zaglądałem do co słynniejszych londyńskich galerii i snułem się znudzony po salach; wynosiłem stamtąd wspomnienia nie tyle obrazów, co zwiedzających, którzy o wiele bardziej mnie interesowali. Aż kiedyś w Royal Academy zaświtało mi w głowie pewne krytyczne spostrzeżenie: dlaczego, u licha, te portrety są takie statyczne? Dlaczego przedstawiani na nich ludzie są tacy drętwi, tacy napuszeni? Dlaczego nie ma w nich życia? Więcej charakteru, wyrazu, odczuć dostrzegałem w jednej zakłopotanej twarzy zwiedzającego niż w tuzinie patrzących na mnie z ram drewnianych obliczy.

Ukończyłem szkołę, kiedy trwała już wojna, prosto stamtąd trafiłem do wojska i po roku znalazłem się w Indiach. Koniec wojny zastał mnie w północnej Birmie; pewnego dnia obserwowałem Birmankę piorącą w Irawadi. Siedziała nad brzegiem w kucki, jaskrawoczerwone *longyi* opinało jej ciasno uda. Od północy nadlatywała z rykiem silników transportowa dakota. Kobieta nie zwracała na maszynę najmniejszej uwagi; dopiero gdy samolot znalazł się dokładnie nad nią, uniosła głowę i tłukąc dalek kijanką pranie, posłała mu przelotne,

obojętne, niemal pogardliwe spojrzenie — spojrzenie birmańskiej wieśniaczki, która przez cztery ostatnie lata napatrzyła się na wojujące ze sobą obce armie, armie przewalające się przez okolicę to w tę, to z powrotem ze swoimi hałaśliwymi maszynami zniszczenia, urządzające jedna drugiej krwawe łaźnie — i nadal prała swoje rzeczy w Irawadi, tak jak robiła to od dziecka, ani lepiej, ani gorzej niż w przeszłości. Nagle ogarnął mnie zachwyty, bo to spojrzenie, to przekrzywienie głowy przy bijących wciąż niezmiennym rytmem rękach wydały mi się nadzwyczaj piękne w swojej wymowie, prawdziwe. Gdybym tak potrafił uchwycić i utrwalić ów moment! Ileż by powiedział o Birmie, wojnie, o ludziach i życiu! Ryk silników dakoty już cichł; kobieta znowu patrzyła na swoje pranie; czar prysł.

Niedługo potem kupiłem w mesie od znajomego oficera aparat fotograficzny. Takich scenek, takich momentów było więcej i w moim odczuciu to w nich, a nie w Shwe Dagon Pagoda czy w nadgryzionych zębem czasu monumentach Pagan tkwiło piękno Birmy i prawdziwy obraz życia w tym kraju. Uparłem się, że je uchwycę. Robiłem dziesiątki fotografii, ale zaledwie kilkanaście spośród nich oddawało jako tako spojrzenie, gest, moment, który pragnąłem uwiecznić, i właśnie te ostatnie rozczarowały mnie najbardziej, bo nie znajdowałem w nich tego, o co mi chodziło. Były jakieś puste, płaskie, bez wyrazu. Ale dlaczego, dlaczego? Dlaczego same w sobie nie były poruszające, skoro stanowiły wierny zapis chwil, które mnie poruszyły?

Po jakimś czasie zacząłem to rozumieć. Chwila sama w sobie nigdy nie będzie kompletną całością, trzeba ją analizować w kontekście ruchu i nastroju i tylko w tym kontekście posiada wymowę. Co więcej, częścią tego kontekstu jest również sam obserwator interpretujący daną chwilę subiektywnie, poprzez pryzmat swojego umysłu — swojej osobowości i wiedzy. Kiedy więc obserwowałem tamtą Birmankę nad Irawadi, to w istocie poruszył mnie nie tyle

wyraz jej twarzy, co skojarzenie, jakie nasunęło mi się na jego widok. Nałożyły się na nie moje doświadczenia oraz nienawiść do niszczenia i wojny. Gdyby obok mnie stał wtedy ktoś inny, tamta chwila mogłaby wywołać u niego zupełnie inne doznania.

I tak, poniewczasie — bo większość ludzi wie o tym bez wątpienia od dziecka — odkryłem największą i być może jedyną prawdę o sztuce: taką mianowicie, że jej zadaniem nie jest mówienie „Oto jak X wyglądał w danej chwili”, lecz „Oto jak X wyglądał w moich oczach”.

Jakiś czas potem nadeszły moje dokumenty mobilizacyjne i wróciłem do Anglii. Zakochany w Dalekim Wschodzie, chodziłem znowu po Londynie przygnębiony i zagubiony, dygocząc z zimna w nowym garniturze. Rodzice nie żyli; z moim wykształceniem nie miałem co marzyć o karierze; nie czułem się związany z tym miejscem, nie czułem się tu u siebie. Po jakimś czasie wuj zatrudnił mnie w swojej agencji nieruchomości przy Sloane Street, obiecując, że jeśli okażę się tego wart, weźmie mnie na współnika. Zacisnąłem zęby, zapisałem się do szkoły wieczorowej, wkuwałem po nocach, a w biurze z rosnącą pewnością siebie zacząłem używać takich słów, jak wynajem, czynsz, metraż, niepodpiwniczony, parkiet. Mierzi mnie takie życie, ale muszę pokazać, na co mnie stać, myślałem. Muszę pozdawać egzaminy. Nie dotrwałem jednak. Pewnego dnia rzuciłem to wszystko w diabły i wyjechałem na Malaje uprawiać drzewa kauczukowe. Chociaż mój pocziwy, rozczarowany wuj powiedział na pożegnanie: „Obawiam się, że będziesz tego żałował”, to kiedy poczułem znowu w nozdrzach nostalgiczną woń Wschodu, wiedziałem już, że się mylił. W Londynie dusiłem się; tu z miejsca odżyłem, wyostrzyły mi się wszystkie zmysły. Znowu zaczęły mnie zachwycać te ulotne chwile piękna: gesty, miny, scenki tubylczego życia. Gdybym tak był artystą, wdychałbym. W końcu, w trzecim miesiącu pracy w Bukit Merah, kiedy malajska dziewczyna zaprzestała uwodzicielskich przechadzek przed moim bungalowem, wziąłem zeszyt, długopis i zacząłem

rysować.

Niemal od razu, chociaż nie miałem najmniejszych złudzeń co do wartości moich pierwszych niedojrzałych szkiców, poczułem, że mam prawdziwy talent. Było to dziwne, rzekłbym niesamowite doznanie. Zupełnie jakbym siadając po raz pierwszy do maszyny do pisania, stwierdził, że moje palce trafiają nieomylnie we właściwe klawisze — coś w rodzaju uczucia „ja tu już kiedyś byłem”. Okazało się to zarazem ogromnie ekscytujące. Uważałem się zawsze za człowieka w miarę wszechstronnego, ale nie byłem dobry w żadnej konkretnej dziedzinie i z zazdrością patrzyłem na obdarzonych jakimiś szczególnymi predyspozycjami, uzdolnieniami, dzięki którym mogli się spełniać i doskonalić. Odkryłem wreszcie coś takiego u siebie. Tak jakbym przypadkowo wysunął szufladę, o której myślałem zawsze, że jest pusta, i znalazł w niej skarb mogący całkowicie odmienić moje życie.

Rysowanie pochłonęło mnie wkrótce bez reszty: całymi dniami i nocami o niczym innym nie myślałem. Nie rozstawałem się ze szkicownikiem nawet w pracy, szukając wciąż sposobności, by zaszyć się w jakimś kącie i zarejestrować swoje wrażenia, oraz licząc godziny do przerwy na lunch albo do wieczora, kiedy to będę mógł swobodnie oddać się swej pasji. Bezcenna stała się dla mnie każda sekunda wolnego czasu. Byłem głodny wiedzy, instrukcji. Usiłowałem przypomnieć sobie wszelkie wskazówki, które wpadały mi jednym uchem, a drugim wypadały podczas zmarnowanych szkolnych zajęć z plastyki, w nadziei, że coś z tego zostało się jednak w mej pamięci. Napisałem do Singapuru i Londynu z prośbą o przysłanie mi książek o szeroko rozumianej sztuce. Pożerałem je zachłannie; poruszały mnie teraz do głębi, oczarowywały, wprawiały w zachwyt reprodukcje obrazów, których oryginały oglądałem przed dwunastu laty bez żadnych emocji w londyńskich galeriach. Interesowały mnie również zamieszczane w gazetach karykatury i ozdobne nagłówki. Studiowałem je, starając się dociec, w jaki sposób osiągnięty

został ich efekt. Nie myślałem już o malajskiej dziewczynie, która przechodziła obok mojego pawilonu. Wkładałem w szkice całą energię, którą, gdyby nie zakaz George'a Wheelera, roztrwaniałbym na miłosne podboje.

Odrzucałem sukcesywnie style, które mi nie odpowiadały, i pod koniec roku wyrobiłem sobie własny. Zacząłem też rysować w kolorze, najpierw dziecięcymi kredkami kupowanymi w miejscowym chińskim sklepiku, potem pastelami, które sprowadziłem z Anglii. Teraz rozpoczynam nową przygodę w świecie oleju.

Wheeler, choć przyłapał mnie nieraz na rysowaniu w godzinach pracy, był przychylnie nastawiony do mojego hobby, uznając je za z gruntu przyzwoite; byłem zresztą jego ulubionym asystentem, bo z Tubby'ego Penfolda, przejawiającego niezdrowe zainteresowanie dziewczętami, niewiele miał pożytku. Poprosił mnie nawet, żebym mu coś namalował. Był to rok koronacji i właśnie zdobyty został Everest; chciał, żebym mu zrekonstruował na płótnie moment osiągnięcia szczytu. Hillary'ego i Tensinga miałem skopiować ze zdjęć zamieszczanych w czasopiśmie. Nie paliłem się do tego zlecenia ani też nie dysponowałem jeszcze odpowiednim warsztatem, żeby mu podolać, obiecałem jednak, że zrobię co w mojej mocy; i sumiennie popełniłem potworny kicz, który jednak Wheelera zachwycił. Powiesił go na ścianie w sypialni, by leżąc wygodnie w łóżku, mógł przeżywać po wielokroć himalajską epopeję.

Tydzień później, wciąż rozplywając się w zachwytach nad moim bohomazem, pokazał mi w londyńskiej gazecie pewien artykuł. Był to wywiad dziennikarza kolumny towarzyskiej z malarką, której pierwszą wystawę otwarto właśnie w prywatnej galerii Ullmana na West Endzie. Cały światek artystyczny nie mógł wyjść z podziwu, bo kobieta ta, już dobrze po trzydziestce, wzięła się do malowania dopiero przed rokiem.

— A ty parasz się tym przecież dłużej — zauważył Wheeler.  
— Może wysłałbyś im coś ze swoich prac?



— Nie jestem jeszcze na tyle dobry — zaprotestowałem skromnie, chociaż gdybym wierniej wyartykułował to, co sobie pomyślałem, moja odpowiedź brzmiałaby: „Uważam, że jestem wystarczająco dobry, ale nie mam pewności, czy inni będą tego samego zdania, i paraliżuje mnie strach przed poddawaniem się testowi”.

— Co ci szkodzi, nie masz nic do stracenia.

Nie dałem się długo namawiać i ogromnym kosztem wysłałem pocztą lotniczą kilka swoich pastelów oraz dwa oleje. Nawet nie potwierdzono ich odbioru. Na osiem miesięcy wszelki śluch po nich zaginął.

Mimo wszystko miałem coś do stracenia — mianowicie pewność siebie. Rumieniłem się, ilekroć pomyślałem, jaką arogancją z mej strony było wysłanie prac do Londynu — wyobrażałem sobie konsternację, jaką tam wywołały! Nie śmiałem nawet poprosić listownie o ich zwrot. Moja wiara w siebie uległa zachwianiu. Nie było więc dziełem przypadku — bo pragnący odbudować swoją samoocenę mężczyźni szuka często dowartościowania u kobiet — że w tym okresie zaręczyłem się ze Stellą.

Stella Plowden miała dwadzieścia cztery lata i była umiarkowanie ładna, czyli na standardy malajskiej prowincji uderzająco piękna; tak więc, kiedy zamieszkała z matką w posiadłości sąsiadującej z Bukit Merah, zaczęli tam ściągać kawalerowie z okolic w promieniu stu mil. Dołączyłem do ich armii, a w zwycięstwie pomogła mi nie tylko mała odległość, ale i bandyci — bo kiedy jeden z zalotników, lekkomyślnie pędzący nocą do Stelli na motocyklu, wpadł w zasadzkę i został zastrzelony, zapął do żeniaczki pozostałych dojeżdżających konkurentów zauważalnie ostygł. Oświadczyłem się jej w dzień Bożego Narodzenia; w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia moje oświadczyzny zostały przyjęte; a już w Nowy Rok zaczęły mnie nachodzić poważne wątpliwości. Jednak dopiero w kwietniu zdobyłem się na odwagę, żeby zaręczył się zerwać.

Główną przyczyną tarć między nami było moje malowanie. Stellę drażniło, że nadal rysuję i maluję Malajki, a nie ją. Nie mogła tego zrozumieć. Dlaczego marnuję talent na tubylców, skoro mam teraz chętną do współpracy, nieskazitelnie białoskórą i niebrzydką modelkę? Przez jakiś czas ukrywała przede mną swoją urazę, ale trudno było nie zauważyć, że coś jest na rzeczy, bo ilekroć pokazywałem jej którąś z prac, traciła humor, wygłaszała kąśliwe uwagi i zaczynała wytykać mi moje potknięcia — wszystkie, prócz tego, które naprawdę ją denerwowało. W końcu jednak nie wytrzymała i wygarnęła mi, co myśli: wcale jej nie zależy na tym, żebym ją malował — nie wyobraża sobie niczego bardziej nudnego od pozowania — ale mój wyraźny brak zainteresowania jej osobą odbiera jako upokorzenie. Nie dalej jak tego ranka matka zapytała ją, czy maluję jej portret, i musiała jej zgodnie z prawdą powiedzieć: „Nie, maluje jakąś Malajkę”. O mało nie spaliła się przy tym ze wstydu.

Zaczęliśmy się sprzeczać na każdym spotkaniu; zawsze padały te same argumenty, te same pretensje, z tym że powtarzane z coraz większą goryczą. Do wybuchu doszło pewnego dnia na pikniku, kiedy prowokacyjnie zacząłem szkicować trzy przechodzące obok nas Malajki.

— Czego mi brakuje? — zapytała Stella. — Taka jestem szpetna czy co?

— Ależ skąd. Nic podobnego.

— To takie uwłaczające... takie nienaturalne.

— Rysowanie tubylców?

— Tak, zwłaszcza że w dziewięciu przypadkach na dziesięć wybierasz kobiety. To nieprzyzwoite.

— Są przecież takie piękne... tyle w nich wdzięku.

— Boże, zastanów się, co wygadujesz! I śmiesz mi jeszcze wmawiać, że nie ma w tym niczego zdroźnego!

— Bo nie ma. — Kłóciliśmy się tak jeszcze przez dobre dziesięć minut, usiłując dopiec jedno drugiemu do żywego, potem zamilkliśmy. Po chwili ochłonąłem i zawstydzony

słowami, które wyrwały mi się w gniewie, podjąłem próbę rozładowania atmosfery.

— Może ciebie bym teraz narysował? — zaproponowałem.

— Dobrze, zaczekaj minutkę. — Sięgnęła po torebkę.

— Nie, nie ruszaj się! Zostań tak, jak jesteś... wspaniale!

— Nie wygłupiaj się!

Kiedy zaczęła się czesać, pudrować, krygować, trafił mnie szlag. „Ty głupia małpo!” — chciałem krzyknąć. „Ty głupia, próżna, zapatrzona w siebie małpo! Czy nadal nie rozumiesz, dlaczego wolę rysować Malajki? Nie widzisz różnicy? Nie dociera do ciebie, że one zachowały świeżość, którą ty utraciłaś?”.

Na koniec wygładziła spódnicę i usiadła prosto, jakby kij połknęła.

— No, już możesz.

— Wspaniale — mruknąłem i zrobiłem szkic. Następnego dnia powiedziałem jej, że nie jestem chyba takim kandydatem na męża, jakiego sobie wymarzyła, i lepiej by było, gdybyśmy ze sobą zerwali.

Bardzo się zdenerwowała.

— Co ja powiem ludziom? — powtarzała raz po raz. — Co ludzie powiedzą? — Chociaż wtedy jej troska o opinię ludzi wzbudzała we mnie pogardę, to po jakimś czasie złagodziłem trochę swój osąd, bo obawa przed utratą twarzy jest przecież czymś naturalnym, a najsilniej zaznacza się wśród ludów Orientu. Wspominając potem tamte dni, uświadomiłem sobie również, że pretensje Stelli, które z początku brałem za przejaw próżności, były jak najbardziej usprawiedliwione. Impuls twórczy ma swoje korzenie w seksualności i nie było większej różnicy między moim upodobaniem do portretowania Malajek a wewnętrzną potrzebą popychającą innych artystów do malowania aktów. (Każdy malarz, który utrzymuje, że ciało kobiety interesuje go jedynie jako „abstrakcyjna forma”, plecie bzdury — aż się prosi, żeby go zapytać, czemu w takim razie nie maluje, dajmy na to, poduszek?). Malajki budziły we mnie

uczucia, które, nie mogąc się uzewnętrznić w sposób bezpośredni, szukały ujścia w innej formie i znajdowały je, manifestując się w moich pracach; takich uczuć Stella nigdy we mnie nie budziła. Zdawała sobie z tego sprawę. „Skoro nie maluje mnie, lecz Malajki, to na pewno mnie nie kocha” — taka była jej instynktowna reakcja; uważałem ten argument za mało subtelny, dowodzący tylko jej ignorancji, jeśli chodzi o wyższe motywacje leżące u podłoża sztuki. Oczywiście miała rację. Nigdy jej nie kochałem — ani przez chwilę.

Kilka tygodni po zerwaniu ze Stellą dostałem przesyłkę z Londynu. Był to list z galerii Ullmana, do której wysłałem swoje prace, i dołączono do niego czek na sześćdziesiąt trzy funty.

List był podpisany przez dyrektora galerii, Roya Ullmana, który przeproszał mnie, że czek nie opiewa na wyższą sumę, ale z honorarium musiał potrącić marżę galerii i koszt oprawy. Nie wyjaśniał, dlaczego odzywa się dopiero teraz, donosił tylko, że włączył czternaście z moich obrazów do grupowej wystawy prac kilku początkujących młodych malarzy, choć przyznawał szczerze, uczynił to z pewnym wahaniem. Jednak, jak wynika z załączonych wycinków prasowych, dynamika i siła wyrazu obrazów skompensowały błędy kompozycji oraz zauważalne niedostatki techniki. „Można bez przesady powiedzieć — pisał dalej — że obrazy pańskie przyćmiły resztę wystawianych prac i może pan sobie pogratulować sporego sukcesu. Jednak...”. Jednak zalecał mi teraz, żebym przez najbliższy rok niczego nie wystawiał i skupił się na doskonaleniu warsztatu. „Ma pan doprawdy wielki i niezwykle talent — kończył — i jestem pewien, że możemy od pana oczekiwać wspaniałych dzieł”.

Po euforii, jaka ogarnęła mnie po przeczytaniu tego listu, przyszło przeświadczenie o własnym geniuszu i niepospolitości. W tym trwającym tydzień okresie uskrzydlenia nie tylko czułem się wyższy, ale chyba rzeczywiście trochę urosłem, bo i George Wheeler, i Tubby Penfold, niezależnie od siebie i z pewnym

zdziwieniem, napomknęli, że nagle zacząłem patrzeć na nich z góry. Już w następnym tygodniu obaj stwierdzili, że skurczyłem się z powrotem do poprzednich rozmiarów. Wydawało mi się, że jeszcze bardziej, bo usiłując sprostac wygórowanemu mniemaniu o sobie, stwierdzałem, że całkowicie opuściły mnie inspiracja i talent. Nic mi nie wychodziło; nie miałem się już za geniusza, lecz za miernotę; pogrzyżyłem się w rozpacz. Nawet wymowa listu Ullmana, do którego wracałem raz po raz w nadziei, że podtrzyma mnie na duchu, teraz wydawała mi się pusta i nieszczerza; no bo co mu szkodziło tak napisać? I czym w ogóle był mój „sukces”, jeśli nie wywołaniem chwilowego poruszenia wśród kulturalnych snobów, których wkrótce zainteresuje coś innego, jakieś inne odkrycie, następna moda? Co zaś do wypisanej na czeku sumy, która początkowo, spadając jak z nieba, wydawała mi się fortuną, teraz, kiedy myślałem o niej w kategoriach poświęconego czasu, włożonego wysiłku i złudności inspiracji, zmalała do psich pieniędzy.

Rozpacz i niemoc twórcza nie opuszczały mnie przez blisko dwa miesiące; potem wahadło emocji wróciło do mniej więcej środkowego położenia. Nie byłem ani geniuszem, ani miernotą. Miałem po prostu jakiś tam dar, do rozwinięcia którego potrzeba cierpliwości i ciężkiej pracy. Ta konstatacja podniosła mnie trochę na duchu i dała impuls twórczy.

W pewien weekend, jakiś miesiąc później, wybrałem się do Singapuru. Po raz pierwszy od roku byłem w mieście większym od Kuala Lumpur i ta ogromna metropolia osobliwie mnie podekscytowała. Buszowałem po chińskich targach ulicznych, przekąsiłem coś w chińskiej jadłodajni, obejrzałem występy kabaretów na Cathay, a potem snułem się wiele godzin po wielkich, gwarnych, tandetnych chińskich parkach rozrywki, gdzie spektakl kantońskiej opery sąsiaduje z pokazem walk bokserskich na wolnym powietrzu, chiński striptiz z elektrycznymi samochodzikami; tańczyłem z fordanserką w jednej z licznych sal tanecznych. Dwa dni później wracałem

na północ pociągiem, przygnębiony myślą, że wkrótce znajdę się znowu na tych bezkresnych akrach porośniętych drzewami o szarych pniach i ponownie zajmę monotonną pracę, która zabiera mi tyle czasu i odciąga od malowania; zaczynałem nosić się z myślą o opuszczeniu Bukit Merah. Od przybycia na Malaje zdołałem odłożyć blisko czterysta funtów. Gdybym żył oszczędnie, starczyłoby mi tego na rok — rok, przez który zajmowałbym się tylko i wyłącznie malowaniem. Kiedy roztrząsałem w myślach wszystkie za i przeciw, major wojsk lądowych podróżujący w moim przedziale westchnął nagle i powiedział:

— Jak ja bym chciał wrócić jeszcze kiedyś do Hongkongu, słowo daję!

— Dlaczego? — spytałem.

— Singapur jest niczego sobie — odparł — ale takie miasto można znaleźć wszędzie. Prawdziwe Chiny to Hongkong. Minutę spacerkiem od centrum i nie uświadczysz Europejczyka. No, a jak tam pięknie, słowo daję!

— Tak słyszałem. — Przypomniał mi się ogrodnik, który pracował w naszym w domu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Ogrodnik ten nie bardzo znał się na ogrodnictwie, bo tak naprawdę był marynarzem. Na brązowych muskularnych ramionach, pośród spłowiątych niebieskich chińskich smoków miał wytatuowane słowo „Hongkong”. Był niekwestionowanym bohaterem mojego dzieciństwa. Pamiętałem, jak oparty o szpadel opowiadał mi o nielegalnych palarniach opium, kanonierkach, sztucznych ogniach, o rzece Pearl i chińskich pogrzebach z sześcioma dętymi orkiestrami i zawodowymi żałobnikami w białych kapturach, przypominającymi członków Ku-Klux-Klanu, którzy zawodzą, lamentują i zgrzytają zębami. Czasami, w najciekawszych momentach urywał i mówił: „Ale dość już o tym, bo będę miał przeprawę z twoim ojcem” — och, jakież tajemnicze królestwa kryły się za tymi słowami!

— Tam, do diaska — westchnął major. — Kiedy do portu

wpływa flotylla dżonek pod pełnymi żaglami, dumnych jak szkunery... Nie, to trzeba samemu zobaczyć. Tak, daję słowo, powinien pan zobaczyć Hongkong.

— I zobaczę — powiedziałem; w tym momencie podjąłem decyzję.

— Pojedzie tam pan na urlop?

— Nie, na stałe.

Zaraz po powrocie zakomunikowałem George'owi Wheelerowi, co postanowiłem. Nie był zachwycony, bo płacił mi dobrze, żebym nauczył się pracy, i spodziewał się, że zostanę na dłużej; kiedy się jednak zorientował, że nie dam się przekonać, zrobił dobrą minę do złej gry i uśmiechając się smutno, powiedział:

— Cóż, podejrzewam, że pewnego dnia staniesz się sławny, a więc lepiej zrobię, jeśli nie będę ci rzucał kłód pod nogi. Napijemy się?

Rozsiadłem się ze szklaneczką whisky w fotelu, a on rozluźnił się, na ile pozwalała mu na to jego chroniczna wewnętrzna sztywność.

— Tak czy inaczej, pretensje może pan mieć tylko do siebie — powiedziałem. — Gdyby nie pan, być może nigdy nie zacząłbym malować.

— Jak mam to rozumieć?

— Chodzi o ten zakaz zadawania się z tubylkami.

Siedział przez minutę zaintrygowany, nie bardzo widząc związek, a potem zauważył:

— Oj, przesada. Ty i tak nigdy nie zadałbyś się z tubylką. Nie jesteś z tych.

— No, prawdę mówiąc... — Chciałem mu opowiedzieć o dziewczynie z roześmianymi oczami i rozkołysanymi zalotnie biodrami, która przechodziła obok mojego bungalowu, ale wpadł mi w słowo.

— Jasna sprawa, że nie jesteś, przyzwoity z ciebie chłopiec. Świadczy o tym twój Everest. Piękny obraz. Tylko przyzwoity chłopiec mógł taki namalować.

Ponieważ prawda mogła go do mnie zrazić, postanowiłem, że mu jej nie wyjawię, i odparłem tylko:

— Cieszę się, że się panu podoba.

— To dzieło sztuki.

Nowy asystent, którego zatrudnił Wheeler, był miejscowym. Nazywał się Hewitt-Begg i po rozmowie wstępnej z Wheelerem powiedział mi:

— Ta sprawa z dziewczętami mi nie przeszkadza, stary. Uprawiam jogę. — I rzeczywiście uprawiał. W samej przepasce na biodrach siadał ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, prężył jasnorożowy angielski tors, uciskał palcami nos i wydawał niepokojące dźwięki, wciągając powietrze jedną dziurką i wypuszczając drugą w odstępach czasu odmierzanych według zegarka, który kładł przed sobą na podłodze.

Zostałem jeszcze dwa tygodnie, żeby wprowadzić go w obowiązki, potem Wheeler odwiózł mnie swoim samochodem do Port Swettenham, gdzie wsiadłem na pokład trampa. Nazywał się *Nigger Minstrel* i płynął przez Malakkę, Singapur i Manilę do Hongkongu.